

HENRYK STAWICKI (1904 – 1986)

Notka biograficzna - wspomnienie



Henryk Stawicki urodził się 2 stycznia 1904r w Łodzi, w rodzinie urzędnika kolejowego.

W 1923 roku zdaje maturę w Gimnazjum Realnym Tomaszewskiego w Łodzi. W latach 1924 – 1929 studiuje na Wydziale Filozoficznym Sekcji Chemicznej Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie uzyskuje tytuł mgr. chemii.

W latach 1930-1931 jest słuchaczem V Kursu Wołyńskiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, który kończy w stopniu podchorążego rezerwy. Po kolejnych ćwiczeniach wojskowych w latach 1932 - 1933 otrzymuje nominację na podporucznika rezerwy.

W 1933 roku żeni się z łodzianką Alicją (Lidką) Królikowską i razem zamieszkują w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej 52. W czasie wojny przytulny dom stał się punktem kontaktowym, a także azylem dla bliższej i dalszej rodziny z całej Polski.

We wrześniu 1938 roku rodzi się moja siostra Elżbieta, mieszkająca obecnie w Wiedniu. Do wybuchu II wojny światowej Heniuś, bo tak nazywała Go rodzina, pracuje w Instytucie Chemii w Warszawie.

Z chwilą wybuchu wojny bierze udział w kampanii wrześniowej w szeregach Armii Łódź - 10 Pułk Artylerii Lekkiej. Niestety walka nie trwa długo bo już około 18 września 1939r. w rejonie Tomaszowa, dostaje się do niewoli niemieckiej.



Mama moja całą okupację spędziła w Warszawie w bardzo trudnych warunkach. Nigdy wcześniej nie musiała pracować i nagle wraz z maleńką córką została praktycznie bez środków do życia. Był to dla niej bardzo trudny okres i nieraz - paradoksalnie - korzystała z pomocy przesyłanej przez ojca z obozu. Dodatkowo, podczas Powstania Warszawskiego zbombardowany zostaje dom przy ul Mokotowskiej. Straciła wtedy cały dorobek, w tym, co bardzo ciężkie, korespondencję obozową z mężem, ratując jednak życie swoje i córki. Po przeszukaniu gruzów Mamie udało się znaleźć jedynie kilka sztućców z rodzinnej zastawy stołowej. Do dziś stanowią one rodzinną pamiątkę po tamtych powstańczych czasach. Po Powstaniu mama wraz z Elżunią i „węzełkiem” w ręku zostaje ewakuowana do obozu przejściowego w Pruszkowie. Po krótkiej kwarantannie zostają wywiezione do Skarżyska-Kamiennej, skąd już po zakończeniu działań wojennych wracają w rodzinne strony do Łodzi.

Ojciec od momentu dostania się do niewoli do listopada 1939r. przebywał w obozie przejściowym w Krakowie. Skąd przewieziony zostaje do Oflagu IIB Arnswalde (obecnie Choszczno), gdzie przebywa do 17 września 1940 r. jako jeńiec wojenny nr 2169/II B. Oflag IIC Woldenberg staje się następnym i ostatnim już etapem wojennej tułaczki Taty. Przebywa tam do dnia 25 stycznia 1945 r. tj. do likwidacji obozu.



O jego jenieckim życiu rodzina niewiele wiedziała. Obozowe listy będące najlepszym przekazem tamtych dni spaliły się wraz całym mieszkaniem, a po wojnie - podobnie jak wielu Polaków w tamtych czasach - ojciec unikał opowiadań o pobycie w niewoli. Tak jakby chciał ten okres wymazać z pamięci. A może bał się czegoś? Chciał chronić własną rodzinę? Czasem przełamywał ten opór i wtedy udawało się pozyskać jakieś szczątkowe wieści. Wyzierał z nich obraz człowieka, który nie był obozowym liderem, jeńcem wyróżniającym się zmysłem organizacyjnym i aktywnością, ale korzystał w pełni z „dobrodziejstw” tego co inni tak wspaniale w obozie inicjowali. Nie musiał uzupełniać wykształcenia, gdyż to zdołał uzyskać jeszcze przed wojną,

ale brał udział w wielu kursach naukowych i specjalistycznych, a przede wszystkim kontynuował naukę języków obcych. To była jego pasja. Wydaje się, że w swoim wykształceniu i znajomości języków obcych widział przyszłość. Doskonała znajomość angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego okazała się bardzo przydatna po wojnie. W oflagu ukończył kurs pszczelarstwa dzięki czemu mógł opiekować się obozowymi pasiekami. Ulubionym panaceum na zajęcie czasu były, jak opowiadał, długie spacery. Poświęcał im każdą wolną chwilę. Miał wtedy czas na refleksje, planował przyszłość. Wojna przecież musiała się skończyć. Żył tą nadzieją.

Wieczorem, 24 stycznia 1945 r.znaczono na rano następnego dnia ewakuację obozu. W grupie liczącej trzy tysiące gnanych na zachód jeńców był mój Tata. Po 5-ciu dniach wycieńczającego marszu w śniegu i mrozie, po przejściu blisko 40 km, dotarli do majątku Deetz (obecnie Dziedzice). Tam po krótkiej potyczce zbrojnej z radzieckim czołgiem i ucieczce Niemców, w dniu 30 stycznia 1945 r. Tata – wraz z całą grupą jeńców - odzyskał wolność. Niestety wolność okupioną tragicznie, gdyż 30 kolegów w potyczce tej zginęło.

Po wyzwoleniu i blisko miesiącu kolejnej tułaczki przez wyzwolony kraj, ojciec powrócił w rodzinne strony do Łodzi, do czekających już tam z utęsknieniem żony Lidki i Elżuni.

W dniu grudnia 1945 roku urodziłem się ja (syn Dariusz).

W tamtych czasach oprócz rodziny nikt z otwartymi rękoma nie czekał na wykształconego magistra chemii, ale jednocześnie jeńca niemieckiego oflagu. Takie to były realia.

Ojciec miał duże kłopoty ze znalezieniem pracy zawodowej zgodnie ze swoim wykształceniem i do 1951 roku pracował u kuzyna w prywatnym sklepie sportowym w Łodzi jako sprzedawca.

W 1951 roku udało mu się podjąć pracę w Przedsiębiorstwie Obrotu Chemikaliami Organicznymi i Barwnikami „Chemikolor” w Łodzi, z czasem na stanowisku kierownika działu. I wtedy właśnie okazało się jak dalekowzrocznie Tata patrzył ucząc się języków. Bowiem jego perfekcyjne opanowanie języków: angielskiego, niemieckiego i rosyjskiego, wykorzystywano w pracy zawodowej, powierzając mu rolę tłumacza w służbowych kontaktach z delegacjami zagranicznymi.

W tamtym okresie znajomość trzech języków obcych była dużym kapitałem. Pod koniec pracy ówczesna władza doceniła to, wysyłając Ojca w 1961r do Chin na Polską Wystawę Przemysłową w Pekinie, jako przedstawiciela Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Pobyt w Chinach trwał 2 m-ce. Nie każdemu trafiała się taka okazja. Opowieściom o tym egzotycznym kraju nie było końca. Tata z tej podróży był niezmiernie dumny i szczęśliwy.

Cale swoje zawodowe życie Ojciec mój poświęcił Przedsiębiorstwu „Chemikolor”, gdzie pracował do chwili przejścia na emeryturę tj. do 1969 r.

W 1983 roku rodzice moi obchodzili 50-cio lecie zawarcia związku małżeńskiego. Te piękne chwile rodzice przeżyli w otoczeniu najbliższej rodziny: mojej żony a ich synowej Bogumiły, naszych dzieci a ich wnuków Gabrieli i Sebastiana, oraz wnuka Zbyszka, syna córki Elżbiety.

Była też dalsza rodzina, z którą rodzice przeżyli okupację i czasy powojenne.

Niestety, spotkań z prawnukami Rodzice już nie doczekali.

9 października 1985 roku zmarła Alicja - Jego żona i moja Matka. Natomiast Ojciec mój, Henryk Stawicki zmarł 20 grudnia 1986 roku. Miał 82 lata.

Pochowani są w części katolickiej Starego Cmentarza w Łodzi przy ulicy Ogrodowej.



*Opracował Dariusz Stawicki - syn Henryka Stawickiego
Członek Zarządu Stowarzyszenia Woldenberczyków
Na podstawie relacji i pamiątek rodzinnych.*